



tekst

MARCIN WÓJCIK

redaktor wydania

Mieszkanie Stanisławy Jasińskiej ze Skierniewic bardziej przypomina izbę pamięci niż M3 w bloku. W dużym pokoju jedna ze ścian niemal w całości obwieszona jest pamiątkami po ukochanym. O miłości silniejszej niż śmierć piszemy na s. IV-V. Polecam także wywiad z Barbarą Mordzak, przewodniczącą Związku Zawodowego „Solidarność” w szpitalu w Kutnie. Mówi między innymi o starości, który zarzucał jej, że roznosi zarazki po szpitalu. Więcej na s. VI-VII.

Ordynariusz łowicki rozmawiał z Ojcem Świętym między innymi o archikolegiacie w Tumie oraz warunkach, w jakich żyją diecezjanie.

Biskup Andrzej F. Dziuba spotkał się z papieżem Benedyktem XVI dwukrotnie – 17 i 19 stycznia. „Papież przyjął z wdzięcznością modlitwy w jego intencji oraz intencjach, które sam poleca Bogu. Podziękowałem za decyzję o beatyfikacji Jana Pawła II, a on sam dodał, że musi nam to wyjść, ale trzeba się modlić” – napisał w korespondencji dla GN ordynariusz łowicki.

Ojciec Święty szczególnie interesował się obchodami 200. rocznicy urodzin i chrztu Fryderyka Chopina, a także 850. rocznicy konsekracji archikolegiaty w Tumie koło Łęczycy. Pytał biskupa Dziubę o powoła-



Biskup Andrzej F. Dziuba spotkał się z Benedyktem XVI już nie pierwszy raz

nia kapłańskie i życie rodzin oraz warunki bytowe diecezjan. „Ojciec Święty obejmuje troską arcybiskupów, kapłanów, siostry zakonne i wszystkich wiernych diecezji łowickiej, udzielając swego apostołskiego błogosławieństwa

od grobu św. Piotra” – przekazał biskup łowicki.

18 i 19 stycznia w Rzymie odbyły się uroczystości 100-lecia Polskiego Papieskiego Instytutu Kościelnego. W uroczystościach uczestniczyli biskupi polscy. **js**

Ahoj, przygodo!



W miniony poniedziałek sześciu śmiałków wsiadło do kajaków i popłynęło lodowatą Bzurą do Sochaczewa. Organizatorem wyprawy była Łowicka Akademia Sportu. Jej szef Kamil Sobol również uczestniczył w wyprawie. Jeszcze w lutym ma się odbyć podobny spływ i będzie mógł w nim wziąć udział każdy. – Chcielibyśmy zachęcić wszystkich do aktywności, bo za dużo czasu spędzamy przed komputerem – mówi Kamil Sobol. Podkreślił, że chciałby, aby w Łowiczu narodziła się tradycja zimowych spływów i za przykład podaje Bydgoszcz, gdzie taka impreza odbywa się od kilkudziesięciu lat i w sumie trwa 3 dni. Ta łowicka – póki co – 4 godziny. **mw**

ŁOWICZ, 24 STYCZNIA. Łowicka Akademia Sportu chce zainicjować nową tradycję – zimowy spływ Bzurą do Sochaczewa

Na nowym sygnale



URZĄD WOJEWÓDZKI W ŁODZI

ŁÓDŹ. Wojewódzka Stacja Ratownictwa Medycznego wzbogaciła się o 11 karetek marki Mercedes. Każda z nich kosztowała ponad 300 tys. zł. Nowe ambulanse zastąpią te najbardziej wyeksploatowane w województwie – 6 trafi do Łodzi, a po 1 do Zgierza, Łęczycy, Skierniewic, Bełchatowa i Kutna. Urząd Marszałkowski poręczył kredyt na zakup karetek w wysokości 3,5 mln zł. **js**

Nowe karetki trafią między innymi do Kutna, Skierniewic i Łęczycy

Pamięci spalonych

ŁÓDŹ. 19 stycznia 1945 r. zakończyła się okupacja Łodzi, ale dwa dni wcześniej w obozie na Radogoszczu Niemcy zamordowali około 1,5 tys. więźniów. 66 lat później pod pomnikiem-mauzoleum wieńce i kwiaty złożyli m.in. wojewoda łódzki Jolanta Chełmińska i prezydent miasta Hanna Zdanowska. Dla uczczenia pomordowanych odbył się również Apel Pamięci. Przedstawiciele kościołów czterech wyznań modlili się za spalonych więźniów Radogoszcza i wszystkie ofiary wojny.

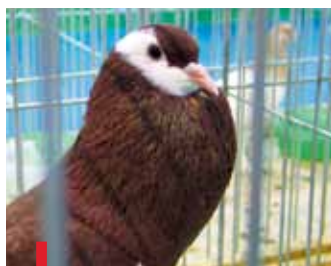
W czasie II wojny światowej w obozie przejściowym na Radogoszczu więziono 40 tys. osób. Stąd wywożono je do obozów koncentracyjnych. Pod koniec wojny Niemcy przekształcili to miejsce na więzienie, które na dzień przed wkroczeniem do Łodzi Armii Czerwonej podpalili. **dk**



ARCHIWUM URZĘDU WOJEWÓDZKIEGO W ŁODZI

Kompania Honorowa Wojska Polskiego oddała salwę honorową

Ozdobne gruchanie



MARCIN WÓJCIK

W Skierniewicach można było zobaczyć gołębie, które nawet jastrzębim okiem trudno wypatrzyć na ulicy

SKIERNIEWICE. Przez dwa dni – 22 i 23 stycznia – trwała w mieście wystawa, którą zorganizował tutejszy Związek Hodowców Gołębi Rasowych i Płactwa Ozdobnego. Przyjechali gołębiarze ze Skierniewic i okolic, Sochaczewa, Tomaszowa Mazowieckiego i Żyrardowa. Można było oglądać najróżniejsze rasy gołębi. Były także kury ozdobne, z coraz bardziej znanymi zielononózkami na czele, cenionymi za niewielką ilość cholesterolu w jajku. **dk**

Lwowskie jasełka



PIOTR DYMIECKI

Barwne stroje, piękny śpiew i gra lwowian zachwyciły mszczonowską widownię

MSZCZONÓW. W Mszczonowskim Ośrodku Kultury odbył się barwny spektakl w wykonaniu dorosłych i młodzieży z Polskiej Szkoły im. Karoliny Lanckorońskiej, która mieści się w Nowym Rozdole k. Lwowa na Ukrainie. Przedstawienie obejrzało ok. 150 osób. Cały występ tchnął polskością, o którą tak dbają rodacy mieszkający

na dawnych Kresach Rzeczypospolitej. Mocną stroną występów była oprawa muzyczna. W przerwach pomiędzy poszczególnymi scenami trio grupy teatralnej śpiewało kolędy a cappella. Widzów urzekły ponadto fantazyjne stroje, a przede wszystkim zastępy anielskie, które tańczyły z zapalonymi zniczami. **pio**

Głód Chleba



Józef Broda dawał zebranym wskazówki, jak żyć w zgodzie z Bogiem, innymi ludźmi i sobą samym

ANETA ASTRABAS

PUSZCZA MARIAŃSKA. W kościele Niepokalanego Poczęcia NMP odbył się koncert Józefa Brody, Katarzyny Brody-Firli oraz Janusza Kohuta pt. „Wokół wigilijnego stołu”. – W czasie występów każdy z nas mógł zastanowić się nad tym, na ile „Boże rodzenie się” jest częścią naszego życia. Artyści używali różnych form wyrazu, by pomóc nam odpowiedzieć sobie na to pytanie. Były melodie, odgrywane na słonce, rogu, dudach czy liściu – powiedziała katechetka Aneta Astrabas. – Na zakończenie koncertu ks. proboszcz Krzysztof Wojcieszak, dziękując artystom, zwrócił się do nich

z prośbą o ponowne wykonanie pieśni „Chleba naszego”. Powiedziało, że w wielu rodzinach naszej parafii tego chleba brakuje, choć bardziej przeraża go fakt, że ludzie nie odczuwają głodu chleba niebieskiego – dodaje A. Astrabas. **ml**

GOŚĆ ŁOWICKI

lowicz@goscmedzielny.pl

ADRES REDAKCJI: 99-400 Łowicz, ul. Seminaryjna 6a

REDAGUJĄ: Marcin Wójcik – dyrektor oddziału TEL. 666 026 771, Agnieszka Napiórkowska TEL. 666 830 799, ks. Wiesław Kacprzyk – asystent kościelny

Albertynki mają 120 lat

Maryja na wózku

Anna, choć nie jest sprawna, **nie widziała problemu, by dla domowników wystąpić na scenie.**

Dom Pomocy Społecznej w Kutnie przy ul. Sobieskiego to jedno z dzieł, które prowadzą albertynki. Mieszka tutaj 60 pensjonariuszek, którymi opiekują się 8 siostr, a także pracownicy świeccy. Parter i pierwsze piętro łączy ze sobą portret brata Alberta Chmielowskiego, który wisi na środku obszernej klatki schodowej. Zresztą święty łączy nie tylko piętra, ale i ludzi; nie ma tutaj bogatych i biednych, lepszych i gorszych. Jest jedna rodzina.

Barbara i jej Skype

Przy Sobieskiego nie ma zakładu opiekuńczego, ale jest dom, taki, w którym na urodziny śpiewa się „Sto lat”, po południu pije kawę i przegryza ciastko, a wieczorem można obejrzeć ulubiony serial. Trafiają tutaj kobiety z całej Polski, z różnych powodów, nie wszystkie dlatego, że w rodzinnym domu zabrakło miłości. Coraz częściej brakuje możliwości, bo trzeba iść do pracy i zarabiać na życie, a babcia wymaga całodobowej opieki: karmienia, przewracania na drugi bok, zmiany pampersów. Zdarzają się też sytuacje odwrotne – to znaczy są możliwości, ale za to z miłością gorzej.

Siostry chcą, aby każda kobieta, która trafia do DPS, czuła się jak u siebie. Niedawno były jasełka, w których główne role zagrały siostry mieszkanki. Tym razem Maryja siedziała na wózku inwalidzkim, no bo jak miało być inaczej, skoro Anna Kamińska nie chodzi od urodzenia? W Józefa wcieliła się babcia Irena Kowalska. – Pomyślałam: czemu nie? Przecież mój dziadek był Józef, ojciec Józef i siostra Józefa – wylicza pani Irena,



zobowiązana przez imienników świętego.

Ale nie wszystkie mieszkanki mają zacięcie aktorskie, nie wszystkie chcą malować, wycinać. Niektóre na starość zgłębiają tajemnice internetu, tak jak 94-letnia Barbara Głuch. Pisze e-maile do rodziny, rozmawia przez Skype'a, interesuje się życiem społeczno-politycznym, a ma do niego dostęp właśnie za sprawą komputera.

Ecce homo

Albertynki w Siedlcach uprawiały klasztorny ogródek, w pocie czoła usuwały chwasty, nawadniały ziemię, pewnie nieraz pogoniły kreta i nawet im do głowy nie przyszło, że w tej szarej codzienności są tak bacznie obserwowane. Punkt obserwacyjny

znajdował się na ulicy, a obserwowała je Zofia, uczennica pobliskiej szkoły z internatem. Po maturze pierwsze kroki skierowała właśnie do siostr z ogrodu.

Siostra Beata Zofia Hajko jest dziś dyrektorką DPS w Kutnie. Wiele spraw załatwia u siebie w gabinecie, ale z tymi najtrudniejszymi idzie do kaplicy, gdzie wisi obraz „Ecce homo”, namalowany przez Brata Alberta w latach 1879–1881. Jego miniaturę w postaci obrazka ma chyba każda albertynka w swoim brewiarzu. Przedstawia ubiczowanego Jezusa, w koronie cierniowej i w płaszczu z purpury, który opada z ramion tak, że na piersi Chrystusa zarysowu-

U albertynek w Kutnie przebywa 60 pensjonariuszek. Na zdjęciu siostra dyrektor Beata Zofia Hajko oraz mieszkanka domu Barbara Głuch

je się ogromne serce. Siostra Beata często ma przed oczyma ten obraz, kiedy odwiedza podopieczne w pokojach lub rozmawia z nimi na korytarzu. Myśli sobie: „Oto człowiek, a w nim Chrystus”.

Oprócz prowadzenia Domu Pomocy Społecznej, siostry pomagają jak mogą tym, którzy pukają do furty. – Nikt nie może odejść głodny od albertyńskich furty – podkreśla s. Beata. Zgodnie z tą maksymą, kutnowskie albertynki niejednej rodzinie wydają obiady, wykupują recepty, płacą rachunki za światło w domu. Niby zwykłe gesty, a tyle światła w życie wpuszczają.

Marcin Wójcik

KSIĄŻKA O MĘŻU. Życie pani Stanisławy po śmierci męża jest ciągłym oczekiwaniem na ponowne spotkanie. Bólu rozstania nie łagodzi czas ani częste wizyty na cmentarzu. Samotne dni wypełnia pisaniem książki o **Władku, z którym przeżyła prawie 60 lat.**

tekst

AGNIESZKA NAPIÓRKOWSKA

anapiorkowska@goscniedzielny.pl

Mieszkanie Stanisławy Jasińskiej ze Skierzniewic bardziej przypomina izbę pamięci niż M3 w bloku. W dużym pokoju jedna ze ścian niemal w całości obwieszona jest pamiątkami po ukochanym. Są tu ordery i odznaczenia, pamiątkowe talerze, dyplomy, szabla i... dwa zdjęcia, umieszczone blisko siebie. Z jednego, w mundurze kapitana, spogląda Władysław, z drugiego w jego kierunku patrzy żona Stanisława. Gdy się pozna historię ich życia i miłości, nie dziwi ani bliskość zdjęć, ani to, że na stole pod fotografią żołnierza stoją kwiaty i pali się wieczna lampka.

Droga do Polski

Na stole przykrytym obrusem leży sterta dokumentów, segregatorów, zdjęć i książek. – Pisaniem mieliśmy się zająć razem, ale mój

kochany zmarł – mówi przez łzy Stanisława Jasińska. – Za każdym razem, kiedy otrzymywał jakiś dowód uznania – order, dyplom czy list – przekazywał mi go, mówiąc: „Schowaj to, Stasiu, przyda się nam, jak zaczniemy wszystko spisywać”. Niestety, tego czasu nie doczekał. To chyba jedyne słowo, którego nie dotrzymał. To był wyjątkowy człowiek, mój bohater, mój obrońca i moja ostoja. Takich ludzi daleko trzeba szukać. Przez całe nasze małżeństwo wszystko robiliśmy razem. Mogło brakować pieniędzy, ale nigdy miłości i szacunku – mówi wdowa Jasińska.

Spoglądając na zdjęcie męża, pani Stanisława z trudem powstrzymuje łzy. Niechętnie opowiada o sobie. Za to o mężu może mówić godzinami. Opowiada o czasie, w którym wraz z całą rodziną został deportowany na Syberię, o łagrach, pracy przy budowie wież wiertniczych i o przymusowym wcieleniu do armii rosyjskiej.

Noszę mu mnie roz

– Cóż to były za czasy! Bieda, upokorzenia i tęsknota za Polską. Słyszając o możliwości wstąpienia do Armii Polskiej, próbował przedostać się do oddziałów tworzonych przez Andersa. Niestety, w połowie drogi, w którą wybrał się ze swoim kolegą, dotarła do nich wieść, że granica została zamknięta. Cóż było robić? Musiał tam pozostać. Pracując, czekał na możliwość opuszczenia tej przeklętej ziemi. Uznał, że taką okazją jest tworząca się polska dywizja. Został wcielony do 3. Batalionu 1. Pułku Piechoty, z którym przeszedł cały szlak bojowy od Lenino do Berlina – opowiada pani Stanisława.

Na chwilę przerywa rozmowę i wychodzi. Powraca, trzymając w ręku srebrny order Virtuti Militari. – Za odwagę, waleczność i rany otrzymał to odznaczenie. Bardzo boli mnie, że do dziś walki

tych biedaków nie są doceniane. Czy ich przelewana krew była inna, gorsza? Oni także bili się o Polskę i wbijali słupy z białym orłem, a potem nieraz za swoimi plecami słyszeli, że są „kacunami” – irytuje się Stanisława Jasińska.

Sen, który się spełnia

Po wojnie Władysław Jasiński awansował do stopnia kapitana. Nadszarpięte zdrowie mocno dawało się we znaki. 29 stycznia 1946 r. ożenił się z Romualdą Starek. – To była moja młodsza siostra, z którą byłam bardzo

Z LEWEJ: Podczas bezsennych nocy Stanisława Jasińska pisze książkę o swoim mężu i ich wspólnym życiu

Podczas wszystkich ważnych uroczystości u boku Władysława Jasińskiego była zawsze jego żona



ZDJEŃIA REPRODUKUCJE: AGNIESZKA NAPIÓRKOWSKA



... róże, którymi ... pieśczał



związana. Niestety, małżeństwo to nie trwało długo. W maju 1947 r. Romka zmarła, 17 dni po porodzie syna. To był straszny cios. Na chwilę przed śmiercią dzwonił do mnie nasz ojciec, mówiąc, bym natychmiast przyjeżdżała, bo ona umiera, a koniecznie chce ze mną porozmawiać. Nie zdążyłam, bo musiałam pozostać przy swoim chorym na zapalenie opon mózgowych synu. Podczas pierwszej nocy spędzonej w domu miałam dziwny sen. Przyśnił mi się Pan Jezus, który mnie błogosławił. Usłyszałam też głos Romki, która powiedziała: „Stasia, co ci szkodzi?”. Od razu wiedziałam, co ma na myśli – wyznaje pani Stanisława.

Po śmierci Romualdy w jednym domu mieszkali jej rodzice, wdowiec Władysław z synkiem Ryszardem i Stanisława z synem Leszkiem, której małżeństwo się rozpadło. Wzajemna pomoc,

troska o siebie sprawiły, że Władysław zdecydował się poprosić Stanisławę o rękę. Ta, choć miała za sobą nieudane małżeństwo, zgodziła się.

– 29 stycznia 1949 roku pobraliśmy się. Nie mieliśmy pieniędzy na obrączki, dlatego kupiliśmy tylko jedną – dla mnie. Po ślubie Władek usynowił mojego Leszka. Od pierwszych chwil naszego wspólnego życia byliśmy bardzo szczęśliwi. Władek bardzo o nas dbał. Ja ciągle byłam adorowana, obdarowywana złotymi różami, a także biżuterią. Proszę popatrzeć, jakie piękne rzeczy mi kupował! Władek lubił, jak ładnie wyglądałam. Gdy koledzy pytali, kto tak dba o jego pamiętki, zawsze z dumą mówił: „Moja kochana żona”. Podczas przeróżnych uroczystości chciał, żebym była blisko. W 50. rocznicę ślubu odnowiliśmy ślub cywilny, a dzień później wzię-

liśmy także kościelny – wspomina wdowa Jasińska.

Msza w prezencie

Małżonkowie nie zapomnieli o Romce, która w pewnym sensie ich połączyła. Przeprowadzając się ze Szczecina do Skierniewic, postanowili zabrać ją bliżej siebie. Kiedy umówieni grabarze nie przyjechali, własnoręcznie przełożyli jej szczątki do trumny i pochowali w Warszawie, w grobie rodzinnym. W Skierniewicach oboje pracowali w Służbie Polsce, a potem ona w zakładzie „Zatra”, a on w „Fumosie”.

Od 1980 roku Władysław Jasiński pełnił funkcję wiceprezesa oddziału Związku Inwalidów Wojennych RP. Później był jego sekretarzem, a od 1999 r. – prezesem. Przez te lata troszczył się nie tylko o członków związku, ale także o upamiętnienie tych, któ-

rzy odeszli. Dzięki jego inicjatywie inwalidzi otrzymali sztandar, przy kościele garnizonowym została wmurowana pamiątkowa tablica, a jeden z placów otrzymał ich imię.

– Na każdą uroczystość, którą Władek przygotowywał, ściągali tłumy. Msze musiały odbywać się nie w kościele, a na placu, żeby wszystkich pomieścić. Poprzedni prezydent Skierniewic Ryszard Bogusz nieraz mawiał, że nie umie Władkowi niczego odmówić, bo jest on człowiekiem honoru. Na jego wniosek mąż został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Kiedy spędzam długie godziny na cmentarzu, nieraz ktoś do mnie podchodzi, rozumiejąc, jak musi być mi trudno, bo ciągle widywano nas razem. Ostatnio w prezencie zamówiłam mu Mszę św. Noszę mu też róże, podobne do tych, którymi mnie rozpieszczał. Wiele bym dała, żeby jeszcze raz usłyszeć, jak, wchodząc do domu, mówi: „Już jestem, kochanie!” – zwierza się pani Stanisława, która jak mało kto umiała żyć w cieniu męża.

W książce, którą pisze, najczęściej podczas długich i bezsennych nocy, wszystkie powyższe wydarzenia zostaną nie tylko szczegółowo opisane, ale także zilustrowane zdjęciami i dokumentami. – Czasem ktoś mnie zapyta, po co ja to robię. Zawsze odpowiadam, że chcę dotrzymać obietnicy, którą sobie wzajemnie złożyliśmy. Robię to dla dzieci i dla siebie, bo dzięki pisaniu mój mąż jest znów blisko mnie. ■

Mieszkanie pani Stanisławy przypomina izbę pamięci

U GÓRY: Pani Stanisława z dumą przechowuje pamiątki, ordery i odznaczenia męża



KUTNOWSKI SZPITAL.

O zwolnieniach, braku dobrych menedżerów i o złamanych nogach Polaków z **Barbarą Mordzak**, przewodniczącą szpitalnej „Solidarności”, rozmawia Marcin Wójcik.

MARCIN WÓJCİK: Ze względu na swoją funkcję, chyba nie jest Pani lubiana przez władze szpitala i tak zwany organ prowadzący, czyli powiat?

BARBARA MORDZAK: – Nie jest tak źle, potrafię się z każdym dogadać i szukać pozytywnych stron. Ale z tym lubieniem to faktycznie różnie bywa. Kiedyś starosta, a obecnie wicestarosta Konrad Kłopotowski zarzucał mi między innymi, że chodzę po szpitalu i roznoszę zarazki. Spotkaliśmy się w sądzie i przeprosił mnie, wszystko sobie wyjaśniliśmy. Dzisiaj normalnie rozmawiamy, bo ja urazy długo nie noszę.

Niecałe dwa miesiące temu szpital został przekształcony w spółkę samorządową. Rozumiem, że przekształcenie wyszło szpitalowi tylko na dobre.

– To się dopiero okaże, ale już na samym początku pojawiają się niepokojące sygnały. Na starcie trzeba było się zadłużyć, ponieważ nie dano pieniędzy na funkcjonowanie. Parę dni temu wstrzymano działanie oddziału nefrologicznego, bo nie ma lekarzy. Nowy prezes zapowiada redukcje i mówi się o nawet 170 osobach. Nie wchodzi w grę zwolnienia grupowe, bo nie ma pieniędzy na odpłaty. Będą zwalniać

Bez siekacza



po kilka osób miesięcznie, między innymi pielęgniarki i sprzątaczk.

Placówka poradzi sobie bez tych 170 osób?

– Na pewno odbije się to na pacjentach. Owszem, podstawowe czynności będą wykonywane, ale pielęgniarki już nie są w stanie dopełniać wszystkich procedur. Z powodu braku czasu i podwojenia obowiązków muszą z czegoś rezygnować, jak powiedziała, kosztem pacjenta.

Część osób nie czeka na redukcje – zwalniali się sami i znajdują pracę na bardzo dobrych warunkach w Łodzi, a niektórzy dojeżdżają nawet do Warszawy. Jest też poważny problem z lekarzami, bo nie chcą pracować w Kutnie. Mówią: „Kutno?! O, nie, dziękuję!”. Ja im się wcale nie dziwię, bo nie da się pracować w atmosferze zwolnień i szukania oszczędności we wszystkim i na wszystkich. Jest jeszcze jedna strona medalu: kiedy zwolnią

te 170 osób, okaże się, że nie ma ludzi do wykonywania kontraktów z Narodowego Funduszu Zdrowia. A jeżeli nie będzie odpowiedniej liczby pracowników medycznych, nie dostaniemy kontraktów. Szpital pójdzie na dno. Będzie można ogłosić upadłość.

Dlaczego okoliczne szpitale jakoś sobie radzą, a w Kutnie z roku na rok jest coraz gorzej? Pojawiały się absurdalne pomysły dyrektorów na ratowanie placówki, jak choćby ten, że pacjenci mniej chorzy będą wyręczać pielęgniarki i zajmować się bardziej chorymi.

– Mam u siebie kilka tomów propozycji naprawczych, które przygotowywały firmy zewnętrzne. Żaden z pomysłów nie wypalił, a szpital musiał zapłacić niemałe pieniądze za te rzekomo świetne pomysły. Co tu dużo mówić,

Barbara Mordzak za fatalną sytuację szpitala obwinia m.in. powiat

nie mamy dobrych menedżerów, którzy byliby w stanie wywalczyć korzystne kontrakty z NFZ. Ośmielię się jeszcze powiedzieć, że szpital w Kutnie powinien być ratunkową placówką rządową, bo mamy świetne położenie, w samym środku Polski, mamy lądowisko dla helikopterów. Tutaj mogłyby być przywożone ofiary wypadków. Brak nam nie tylko menedżerów, ale i parlamentarzystów, którzy by ten pomysł poparli w Warszawie.

Za fatalną sytuację szpitala w pierwszej kolejności winię rząd, w drugiej – powiat, a w trzeciej – dyrekcję, która zazwyczaj zmieniała się co kilka miesięcy, inkasując niemałe odpłaty. Życie człowieka jest najwyższą wartością na świecie. Nie może być tak, że chorzy czekają do specjalistów po kilka miesięcy. Człowiek może umrzeć, zanim dosta-

ani rusz

nie się do lekarza, albo jego stan na tyle się pogorszy, że już mu nie będzie można pomóc. Niech sobie rozkładają podatki jak chcą, ale na służbę zdrowia zawsze powinno starczyć.

Może po prywatyzacji służby zdrowia będzie lepiej?

– Nie będzie. W Płocku są dwa szpitale: miejski, działający jako spółka, i specjalistyczny – państwowy. Proszę mi powiedzieć, gdzie karetka najczęściej dowożą pacjentów? Oczywiście, że do szpitala państwowego, bo spółka kalkuluje. Procedury, za które rząd nie płaci w sposób opłacalny, nie będą w spółce stosowane. Wszystko jest przeliczane na pieniądze. Jeżeli na przykład złamane nogi nie opłacają się, pacjentów z takimi obrażeniami musi zabrać szpital państwowy.

W Kutnie otwarto tak zwany szpital, tak przynajmniej jest napisane na budynku. Ale co to za szpital, który jest czynny tylko do 18.00? A co w późniejszych godzinach? Wykonują nieskomplikowane zabiegi i pacjent musi być w miarę zdrowy. Kiedy są jakieś powikłania, i tak odwożą pacjentów do placówki państwowej. Nie możemy doprowadzić do tego, abyśmy mieli tylko szpitale dla lekko chorych, które leczą to, co opłacalne. Tak właśnie wygląda prywatyzacja. Nie liczyłabym na refundację. Przykład? Choćby stomatologia. Najpierw jedynka, dwójka i chyba jeszcze trójka w górnej szczęce były refundowane. Później lekarze zaczęli rezygnować z refundacji, bo to im się

nie opłacało. Dzisiaj na terenie Kutna są może dwa gabinety stomatologiczne, które cokolwiek refundują, a reszta przyjmuje odpłatnie. I do tego dojdzie również w przypadku podstawowej opieki lekarskiej.

Ale ludzie jakoś się pogodzili i za wizytę u dentysty płać.

– Tak się pogodzili, że większość społeczeństwa polskiego ma tyle ubytków, że to się w głowie nie mieści. W żadnym cywilizowanym kraju społeczeństwo nie ma takich zębów jak u nas. Lu-

dzi żyjących za minimum nie stać na wizyty u stomatologa. Proszę spojrzeć, jakie ubytki w jedynkach i dwójkach mają mieszkańcy wsi, robotnicy. A jak już uzbierają na przednie zęby i zrobią sobie tę jedynkę, dwójkę i trójkę, to na tyłach nie ma nic, pustka sama.

No tak, ostatecznie zęba można nie mieć, ale w przypadku zapalenia wyrostka robaczkowego konieczna jest natychmiastowa

wizyta u lekarza i nie będzie czasu na uzbieranie.

– Ale jak nie mamy zęba, to dobrze nie pogryziemy, powstają kwasy, robi się nadżerka, żołądek zaczyna nas boleć, rozwija się rak i wydajemy pieniądze na tego pacjenta bez zęba, bo ratujemy go przed rakiem, a wszystko zaczęło się od jedynki. To jest błędne koło, które ktoś w końcu powinien zatrzymać. ■

Szpital w Kutnie od niedawna działa jako spółka samorządowa. Czas pokaże, czy operacja się udała



■ R E K L A M A ■

103,5 FM
Łowicz/Sochoczew

93,8 FM
Kutno

94,7 FM
Rawa Maz.

96,7 FM
Skierniewice

98,1 FM
Mszczonów/Żyrardów

radio
Victoria

www.radiovictoria.pl

agencja reklamowa



Nasi wielcy

Podpierał Krzywą Wieżę

Czy można znaleźć jakiś **wspólny mianownik między Wenecją, Egiptem i Głownem?**

Okazuje się, że tak. Perły architektury na świecie i miasto w naszej diecezji łączy pan Romuald.

Wśród Honorowych Obywateli Miasta Głowna jest prof. Romuald Adam Cebertowicz, patriota, wynalazca i naukowiec, którego nazwisko znane jest nie tylko w Polsce, ale także w Hiszpanii, Kanadzie, a nawet Chinach. – To bardzo miłe, gdy

na przykład podczas wycieczki do Włoch miejscowy przewodnik mówi: „Głowno, Cebertowicz” – mówi Przemysław Kobacki z Wydziału Promocji głowieńskiego Ratusza.

W pierwszym szeregu

Romuald Adam Cebertowicz urodził się w 1897 r. w Głownie, w rodzinie naczelnika miejscowego Urzędu Powiatowego. Wychowywany był w atmosferze patriotyzmu i kultywowania tradycji wielkich zrywów narodowo-wyzwoleńczych. Już jako 8-letni uczeń głowieńskiej szkoły powszechnej uczestniczył w strajku szkolnym w 1905 r., przeciwstawiając się rusyfikacji. Naukę kontynuował w polskiej Szkole Handlowej w Łowiczu. Placówka ta nie tylko reprezentowała wysoki poziom nauczania, lecz także coraz głośniej było o patriotyzmie jej nauczycieli i uczniów.

Wieści o propolskiej postawie wychowawców i wychowanków zataczały coraz szersze kręgi, aż dotarły do carskiej władzy. Zaborca w 1912 r. zamknął szkołę. Romuald uczył się dalej w Zduńskiej Woli, a potem w rosyjskiej Szkole Realnej w Łowiczu.



ARCHIWUM UM GŁOWNO

Romuald Cebertowicz często odwiedzał rodzinne Głowno

Jej ukończenie uprawniało do wstępu na studia.

Po zakończeniu I wojny światowej Cebertowicz pracował jako sekretarz głowieńskiego Magistratu, jednocześnie kontynuując przerwane studia na Wydziale Inżynierii Politechniki Warszawskiej. Ale na wieść o wybuchu II powstania śląskiego bez wahania stanął do boju. Jako oficer baterii 1. Dywizjonu Artylerii Powstańczej walczył m.in. w rejonie Kędzierzyna-Koźla i pod Górą św. Anny. Wziął także udział w trzecim zrywie narodowo-wyzwoleńczym na Śląsku.

Po jego zakończeniu pracował w Warszawie, nadal pogłębiając wiedzę. Owocem nauki była obrona wysoko ocenionej pracy dyplomowej na temat: „Projekt drogi wodnej Dniestr–Pрут. Kanalizacja Prutu oraz porty rzeczne w Stanisławowie i Kołomyi”.

Tuż przed wybuchem II wojny światowej Cebertowicz koordynował budowę schronów i bunkrów śląskiego pasa umocnień obronnych.

Po przekroczeniu granicy rumuńskiej, przez Jugosławię i Włochy, zdążył jeszcze dotrzeć do Francji, aku-

rat na czas walki z Niemcami, do której – oczywiście – się włączył. Koniec wojny zastał go w Wielkiej Brytanii.

Naukowiec i wynalazca

Po wojnie Cebertowicz pozytywnie odpowiedział na propozycję pracy na stanowisku adiunkta w organizującej się Politechnice Gdańskiej. Równocześnie opracował projekty odbudowy magazynów portowych, ujęć wodnych dla portu gdyńskiego i fundamenty pod obiekty dla Marynarki Wojennej. W 1949 r. otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego. Obiektem jego zainteresowania stały się zjawiska osiadania gruntów pod budowlami. Efektem długoletnich studiów była nowatorska metoda zeskalania podmokłych, osuwających się gruntów, od jego nazwiska nazwana cebertyzacją. Zastosowana została do ratowania wielu zabytków w Polsce, np. kamieniczek na Długim Targu w Gdańsku, kościołów w Poznaniu, Gnieźnie, zamków w Czorsztynie, Toruniu, Kórniku. Profesor zabezpieczył osuwający się kościół św. Anny w Warszawie oraz zespół architektoniczny Sandomierza. Cebertowicz zapraszany był też do współpracy za granicę. Dzięki niemu uratowano m.in. pałac Piotra Wielkiego w Peterhofie w Rosji, zabytki Wenecji i Padwy, Krzywą Wieżę w Pizie we Włoszech, starożytny zespół świątynny w Abu Simbel w Egipcie. Za swoje dokonania profesor otrzymał liczne nagrody, odznaczenia resortowe i państwowe (m.in. w 1959 Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski).

Po przejściu na emeryturę często odwiedzał rodzinne miasto. Zmarł w 1981 r. w Łodzi, a – zgodnie ze swoją ostatnią wolą – został pochowany na cmentarzu w Głownie.

Imię Cebertowicza nosi jedna z ulic w Gdańsku, a także Zespół Szkół nr 1 w Głownie. – Co roku organizujemy konkursy wiedzy o patronie – opowiada Elżbieta Kołodziej, dyrektor placówki. – Na szkolnym korytarzu wiszą akwarele przedstawiające uratowane przez niego zabytki. **nap**



AGNIESZKA NAPIORKOWSKA